

## Człowiek po obydwu stronach ściany

(Excerpt in Polish)

Translated by: Nikodem Szczygłowski

Contact of the translator: [carduelis@europe.com](mailto:carduelis@europe.com)

Jest sobota. Duszna, jak wszystkie letnie soboty w Buenos Aires. Po południu wrócił z pracy, oszołomiony upałem, a droga powrotna była tym razem zupełnie inna niż w poprzednich dniach: lepsza i przede wszystkim bardziej smutna. Tak samo było za każdym razem, gdy wracał z pracy w jakimś mieście po raz ostatni przed wyjazdem na stałe gdzie indziej.

Stojąc w progu rzucił tklive spojrzenie na walizki, które od tygodnia już stały spakowane.

"Więc jutro pan wyjeżdża?" pyta właścicielka mieszkania stojąc między drzwiami kuchni na drugim końcu wąskiego korytarza i wycierając fartuchem krople potu.

"Jutro". Uśmiecha się do niej i kontynuuje do siebie: "Zanim zdążą choćby zasugerować, że jestem za stary na taką pracę...". "

"Wy, emigranci, to jesteście właściwie szczęśliwymi ludźmi. Bez żalu zostawiacie jakieś miejsce, jakby was nic a nic więcej nie obchodziło". On jedynie pokiwał głową. "Szkoda, chętnie poznałabym pańską żonę" – kontynuuje gospodyni. "Mariję... Pamięta pan, jak kiedyś pan powiedział, że nie podoba panu się jej imię, gdyż w Europie co druga kobieta na chrzcie otrzymuje imię Maria? Właścicielka mieszkania widzi, że jest zakłopotany, ale spieszy się skończyć swoją myśl. Biedna Marija. Bóg raczy wiedzieć, przez co musiała przejść bez pana. Ale teraz będzie już lepiej – uśmiecha się figlarnie – jest pan wciąż krzepki."

"Może kiedyś ją tu przyprowadzę, żeby mogła pani ją poznać.

"Będę naprawdę szczęśliwa!" właścicielka powoli wypowiada ostatnie słowo, a z jej twarzy widać, że naprawdę myśli o tej obcej kobiecie. "*Rano jeszcze zrobię panu śniadanie ...*"

Kiwa głową i bez słowa odchodzi od drzwi, żeby już go nie widziała i żeby łatwiej było im przerwać rozmowę. *Zrobię panu rano śniadanie... rano....jeszcze...* Tylko jedno słowo i zostaje brutalnie ściągnięty z powrotem do rzeczywistości. Zawiera w sobie wszystko: pożegnanie, oczekiwanie rozstania i, co najgorsze, po prostu czekanie.

Zawsze chciał opuścić Buenos Aires i teraz właśnie nadszedł ten czas. *Nie spędzę w tym mieście już ani jednego dnia*, mówi sobie, a potem myśli o swojej żonie. Po prawie pięciu latach rozłąki znów ją zobaczy.

Jego oczy wędrują po schludnym pokoju, a gdy widzi na łóżku poduszki, wydaje mu się, jakby właśnie spędził zaledwie noc lub dwie w jakimś opuszczonym hotelu, a nie jakby przebywał tu od półtora roku. Następnie podchodzi do okna. Jego oczy ślizgają się po pustych ścianach, a potem podnosi brwi. Na drzwiach wisi kalendarz.

"Jeszcze to" – mówi do siebie trzymając go w rękach. "Byłbym zapomniiał". Sięga po styczniowy arkusz, który kilka dni temu wsunął przez szczelinę po drugiej stronie kartonu, i uśmiecha się, gdy kładzie go na walizce. *Dziewiętnaściościęćdziesiąt. Mamy już połowę lutego i po raz pierwszy nic nie zapowiada tego, że jeszcze w tym roku na pewno wracamy do domu*. Następnie unosi brwi, jakby pytając samego siebie. *Do domu ... ?*

Za drzwiami właścicielka znów głośno szura swoimi kapciami po szorstkiej podłodze korytarza. Chce mu coś powiedzieć, ale on stoi w miejscu, więc nie może go usłyszeć. Nie podnosi nawet ręki, aby wytrzeć pot broczący na jego czole. Nie robi niczego, gdyż szkoda mu nawet słowa.

Właścicielka zawsze chciała wiedzieć wszystko o jego żonie, ale ona jest prosta i zmienić temat rozmowy nie sprawiało mu kłopotu. Wciąż nie stracił lęku przed opowiadaniem, wciąż był pełen nieprzyjemnego uczucia, które wkradło się do niego w tamtych dniach podczas wojny i nie opuściło go nawet później, gdy był już wolny i błąkał się po Europie. Nie chciał mówić o sobie ani o swoich rodakach, a gdy spotykał obcych, zawsze miał na podorzędziu przygotowane inne nazwisko i fałszywy adres.

A nawet gdybym chciał jej coś powiedzieć! Czy ona może zrozumieć? Gdyby opowiedział jej, jak jego żona nie mogła uzyskać pozwolenia na wyjazd do Argentyny, ale ostatecznie i tak udało się jej uciec, przebyła ćwierć świata, by dotrzeć do miejsca nad rzeką gdzieś na północnej granicy, by tam na niego czekać; że właśnie w tej chwili wciąż na niego czeka, aż przybędzie aby ją stamtąd zabrać, i że gdzieś w odległym zakątku świata znów będą kontynuować swoje życie od tego miejsca, gdzie musieli je przerwać cztery lata temu, rok po ślubie.... Co mogła zrozumieć oprócz zdarzeń, ruchu i wielkich odległości?

W ogóle nie lubił z nią rozmawiać, z wyjątkiem tych pierwszych tygodni, kiedy wrócił z Misiones i cieszył się z tego, że przywiózł ze sobą trochę pieniędzy i że znalazł spokojniejszą pracę oraz pokój do zamieszkania blisko pracy w tym rozległym milionowym mieście. Był wtedy bardziej ożywiony i często rozmawiał z nią na korytarzu. Zwłaszcza, że widział, iż

zależało jej na nim bardziej niż mógłby się spodziewać. I on też gdzieś tam na początku wbił sobie do głowy, że prędzej czy później będzie musiało dojść do zbliżenia między nimi.

Patrząc na nią teraz, właściwie zaniedbaną, i myśląc o wszystkich pustych słowach, które wymienili ze sobą w ciągu ostatniego roku, nie może uwierzyć, że kiedykolwiek mógł pomyśleć o czymkolwiek innym niż ta droga, która jest konieczna, jeśli naprawdę chce zacząć nowe życie.

Zgina kalendarz i przegląda walizki i pudła, żeby zobaczyć, gdzie może go wcisnąć. Dwa miesiące temu była więc jego ostatnia Wigilia w tym gorącym mieście. Mój Boże! W podziemiach kościoła Belgrano stał, jak i w poprzednie dwie Wigilie, cały spocony, skulony wśród swoich nieznanym rodaków. Chciał sięgnąć do filaru, by poczuć chłód na dłoniach, ale nie mógł poruszyć nogą. Od frontu nad spoconymi głowami unosiły się stare kolędy; mruczał cicho, myśląc o śniegu. Pot znajdował sobie ścieżki spływając po jego szyi, a mężczyźni obok przecierali oczy, wycierając czoło. Ale jakież to ma znaczenie! Po północy człowiek wymienił płyn, który wyparował z jego ciała na kilka kufli piwa. Tylko łzom nie wiedział jak ma zaradzić ...

"Jest gorąco. Droga będzie jeszcze bardziej gorąca, a właściwie upalna, ale jak dotrze na północ, to będzie inaczej. Tam upał jest suchy – mówi do siebie, myśląc o starym Grondonie.

Zdarzyło się to zaledwie dwa lata temu. Zszedł z małego parowca na nabrzeże w zimny słoneczny poranek. W nocy rzeka Parana była tak zamglona, że kapitan kazał zacumować łódź przy brzegu. Był zły na kapitana, gdyż spieszyło mu się: dziewięć dni temu statek opuścił Buenos Aires, a dwa dni wcześniej powinien był dotrzeć do Puerto Iguazu. Przez ostatnie trzy noce byli zakotwiczeni w środku dżungli, czekając na kolejny poranek, by wypłynąć dalej.

Odwrócił się w stronę szerokiej rzeki. Jego oczy utonęły w gęstych lasach, wziął głęboki łyk powietrza i powiedział do siebie: "Jestem tu teraz. Gdybym tylko wiedział, czy czynię to, co należy."

Mgła wciąż unosiła się znad rzeki, gdy odwrócił się i skręcił w górę. Nie było tam nikogo; dwie lub trzy jasnowłose, spalone słońcem twarze wymieszały się z twarzami Murzynów i Kreolów wzdłuż drogi, i tylko w górze, tam, gdzie mazista, błotnista czerwona droga skręcała w stronę pierwszych domów, kłębił się tłum ludzi. Jeszcze wcześniej, gdy cumowali i parowiec przybijał do brzegu, jedynie dzieci – i tylko na chwilę – odwróciły się w stronę portu i widać było, że pasażerami za ogrodzeniem nikt specjalnie się nie interesuje.

Powoli szedł pod górę. O kilka kroków od grupy wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. Potem znów chwycił za walizki, ale natychmiast je odłożył jeszcze zanim podniósł. W środku prawie nieruchomej grupy ludzi zobaczył na ziemi ogromne zwłoki.

"Dziś rano wyrzucono to na brzeg" – powiedział ktoś, kto odkleił się od grupy, gdy zobaczył, że wygląda na obcego. Ledwo rozumiał jego wymowę.

Trup był tak duży, że się przeraził. "To coś nigdy nie mogło chodzić" – powiedział do siebie.

"Nie mogło chodzić na dwóch nogach ... Przez chwilę to, co miał przed sobą, było sumem morskim; woda wyrzuciła go na brzeg. Nawet woda nie chciała go utrzymać ... Pytanie, czy to było rozsądne z mojej strony, że posłuchałem żony i przyjechałem tutaj ... "

Krępy i szeroki w barach facet opuścił gromadę. Podeszedł do niego i pokazał mu kartkę papieru.

"San Antonio".

Mężczyzna spojrział na niego, ale nie udzielił żadnej odpowiedzi. Dopiero gdy zwrócił się do niego ponownie i zapytał po włosku, dokąd jedzie autobus z portu, ten się zaśmiał i tylko przytaknął.

Zwrócił mu kartkę i zrobił kilka kroków, a potem nagle odwrócił się i wskazał głową przez drzewa na czerwony budynek, z którego błyszczał szyld w postaci olbrzymiej blaszanej butelki.

"Nie ma autobusów! Świat kończy się tutaj... Zapytaj tam! Tam jedzą szoferzy. Może ktoś z nich jedzie po drewno"

\*

Ciężarówka grzechotała po czerwonej ziemi. Kierowca leniwie siedział za kierownicą, od czasu do czasu zerkając na nieznanego, który ze zdumieniem patrzył przez półotwarte okna. Droga stawała się coraz węższa, koła coraz częściej uderzały w olbrzymie paprocie, bambusy coraz mocniej okalały drogę.

"Miałeś szczęście. Nikt inny nie wybiera się tam w tym tygodniu. Nawet ci paskudni Brazylijczycy nie jadą. Będzie padać i wszyscy boją się, że utkną na tydzień w środku tej puszczy."

"Węże? " – zapytał, próbując coś powiedzieć.

"Nie, mój panie!" To "pan" nie było bynajmniej wyrazem szacunku, ale właściwym określeniem kogoś, kto nic nie rozumie. "Oni już śpią. " Odwrócił się z zaciekawieniem. "Nie lubi ich pan, prawda?"

Przytaknął.

Kierowca wybuchnął śmiechem i pokazał prawie całkowicie bezzębne usta. "Wszyscy stamtąd jesteście tacy " – wskazał gestem na południe. "Teraz nikt nie chce jeździć po tych drogach, bo boi się, że ugrzęźnie w błocie. Zobaczysz, jaka to ziemia, gdy zacznie padać! Tydzień później, jeśli nie przestanie padać, nie da się już nigdzie przejechać. Kto umie czytać, będzie przynajmniej miał w tym czasie zajęcie, ale poza tym ... no, ale ...!".

"Już od kilku lat włóczę się z kraju do kraju. Jeśli krewni mojej żony są tacy, jak napisali, to kiedyś to wszystko może się naprawdę skończyć – zastanawia się, gdy kierowca opowiada swoją historię.

"Ze mną jest inaczej. Muszę jechać dalej, bo jestem całkowicie splukany. Nie jeździłem już od trzech miesięcy". Czekał, aż nieznajomy zapyta, ale ponieważ pytanie nie padło, zwrócił się do niego ponownie. Podniósł ręce z kierownicy i skrzyżował je na nadgarstkach.

"Trzy miesiące!" Z dziwnym uśmiechem zwrócił się do swojego towarzysza i dodał wyjaśniająco: „Kobiety!"

Przejechali obok ryczących wodospadów Iguazu. Nie mógł ich zobaczyć, ale słyszał, jak najbliższy z nich szumi tuż za pierwszymi drzewami wzdłuż ścieżki. Tu i ówdzie mógł dostrzec na niebie kłęby mgły, a kierowca wyjaśnił, że zbierają się one tuż nad ujściami wodospadów. Potem już huk pozostał za nimi.

Wóz miarowo pędził przez las. Czasem wjeżdżali między drzewa i wydawało się wówczas, że jakby na ziemi zapadł nagły zmierzch, a liany kołysały się tuż obok okien. Wydawało się, że chcą owinać się wokół pojazdu i zatrzymać go. Szerokie pnącza wylaniały się w światłach reflektorów po obu stronach czerwonej drogi.

Był zmęczony i bał się spać. Najpierw zamienili ze sobą kilka słów: powiedział kierowcy, że właśnie przyjechał z Europy niecałe dwa tygodnie temu, że natychmiast kieruje się na północ, bo musi zobaczyć się ze szwagrem, bratem swojej żony, który dwadzieścia lat temu przepłynął przez morze i mieszka z córką w San Antonio.

"Czy wie pan, na którym końcu miasta mieszkają?" – zapytał kierowca.

"Nie. Muszę tylko dostać się do San Antonio i znaleźć tawernę jakiegoś Grondony, a stamtąd zaprowadzą mnie do domu mojego szwagra".

"Jak nazywa się ta rodzina?"

"Marinič".

Kierowca kiwnął lekceważąco głową, mówiąc, że nie zna tego nazwiska. Potem zamilkł zupełnie na pół godziny, jak to robił już kilka razy wcześniej, a następnie rozpoczął rozmowę

od nowa i od tego samego jego "wczoraj późno poszedłem spać." Dopiero gdy nieznajomy widocznie wpatrywał się w dzikie olbrzymie orchidee, w piękne żółte i krwiste kwiaty, albo gdy musiał bronić twarzy obiema rękoma przed chmurami jaskrawo niebieskich błyszczących motyli, spojrzął na niego znowu: "Tam na dole w Buenos Aires nie ma nic ... Byłem tam raz i okradli mnie kiedy spałem. Szczerze mówiąc: nie ma tam nic ciekawego ... Za trzy godziny będziemy w San Antonio".

Zakręty się skończyły i samochód znalazł się na prostej drodze, która gubiła się wśród drzew. Napadła go drzemka. Kierowca zaproponował mu małe słodkie banany, jadł je przez sen. Wtedy poczuł, że mężczyzna za kierownicą coś mu tłumaczy i pyta: "Czy zamierza pan osiedlić się na tej ziemi?".

"Nie wiem. Nawet nie wiem, dokąd zmierzam..."

"Lepiej kupić. To wymaga ciężkiej pracy, żeby zdobyć tu pieniądze, ale warto. Nawet jeśli ma pan już swoje lata, aby zacząć tu pracować na ziemi." Ma swoje lata? Czuł się jeszcze wciąż młodo i wydawałoby, że mógłby poczuć tym dotknięty; ale w odpowiedzi nie odrzekł nic. Spojrzął jeszcze raz na rozległe korony drzew, zatrzymując wzrok przy sękatych pniach, na wpół ukrytych przez bluszcz i kolczaste rośliny pnące. Kto by pomyślał w Trieście, tuż przed wyjazdem do Ameryki Południowej, że kiedykolwiek będzie jeździł po tych krwistoczerwonych drogach, wrzynających się we wrzosowiska i ciemny las? Nawet po ostatnim liście żony, w którym podała mu adres brata, nie myślał, że gdzieś tam, zapomniany przez Boga, może leżeć zagubiony koniec świata.

"Mój brat jest wdowcem, jego żona zmarła kilka lat temu, więc on i jego córka ucieszą się na widok każdego z naszych ludzi, a co dopiero Ciebie ... "

"To trochę na uboczu", powiedział kierowca, "ale podwiozę pana do starego Grondony. Wydaje mi się, że znam Grondonę, choć nie jestem pewien. Gdybym miał ciężarówkę jak Brazylijczycy, którzy wożą drewno, byłbym około dziesiątej ... Jeśli zostanie pan tutaj, jestem pewien, że spotka pan kilku Brazylijczyków. Uważaj pan jednak! To są dopiero krętacze. Nawet na mszę z Brazylijczykiem lepiej nie iść, rozumie pan? *Ni a misa!*"

Zmarszczył pogardliwie brwi: "Brazylijczyk?". Zgiął rękę w nadgarstku i zaczął zamiatać przed sobą powietrze grzbietem dłoni, jakby odpychał kogoś niewidzialnego na rozsądną odległość, powtarzając: "*Aire! Aire!*"

Znów słychać było tylko dźwięk silnika.

Spojrzał na kierowcę, cały rozgoryczony, i powiedział do siebie: "Jesteśmy blisko granicy ...  
Już się nienawidzą ... "

"Więc ... " – kontynuował kierowca, nie pozwalając złagodzić pogardliwego wydęcia ust –  
"na miejsce dotrzemy późno i nie będzie pan mógł dziś jechać dalej. Jutro Grondona albo ktoś  
inny zabierze pana na *chacro* ..."

Okolo północy wśród drzew pojawiły się pierwsze migoczące światełka.

San Antonio. Stary, białowłosy pan Grondona, właściciel rykowatej karczmy przy ustronnej  
drodze tuż za wsią, przywitał ich niemrawo. Dopiero gdy kierowca powiedział, że ma ze sobą  
cudzoziemca, ocknął się.

"Szuka swojego szwagra, który mieszka z córką w pobliżu" – zaczął kierowca, po czym  
wskazał na zbliżającego się ze strony samochodu mężczyznę, aby kontynuował opowieść.